NUMER 7. DNIA 12. LUTEGO 1905 ROKU. ROK XIII.

TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

TEODOR MIANOWSKI.

Słowo o rozumie i uczuciu wśród społeczeństwa.

Ostatnie nasze czasy stoją pod egidą Muz; poezja zawładnęła wszechwładnie. Że tak jest, świadczy i statystyka bibljograficzna, świadczy cały nastrój wśród inteligentnych sfer społeczeństwa. Popatrzmy na wystawy księgarskie; jaka moc impresji, scherzów powieściowych, nowel, nowelek, powieści, pyłków, ksiąg bytu, olbrzymie „prawdy“ wieszczących, ksiąg smutku, głębi, słońc, szafirowych promieni! A jakże mało rzeczy ścisłych, na obserwacji opartych. Zdawałoby się, że przyjdzie żałować tych czasów, kiedy „kielnia i młot“ były ideałem społecznym, kiedy się mówiło o poezji z lekceważeniem niemal, a propagowało hasła pozytywistyczne.

Zawdzięczamy wiele nowoczesnej poezji, ogromnie wiele. Zrobiliśmy ją swoją własnością, mamy ją rodzimą, oparliśmy ją na naszych własnych instynktach i uczuciach. Hasła szły wprawdzie skądinąd — z Zachodu i Północy. Myśmy wzięli tylko hasła, tylko podniętę — czystą formę, którą naleliśmy treścią z nas samych zaczerpniętą, winem serc naszych. Strój obcy odrzuciliśmy prędko — zaczęliśmy tworzyć na nowo. Kłótnie o teorje szły swoją drogą, twórczość swoją. Zjawiły się plejady słońc — talenty pierwszorzędnej wartości i mocy. Tylko dusze małe, płaskie, lub też biedne, w których krwawa walka o byt zabiła instynkt piękna, nie widzą niezwykłych piękności nowszych utworów i gniją w swoich ciasnych formułkach estetycznych i doktrynerskich.

Jakąż rozkoszą jest każde wyzwolenie! Żyjemy w społeczeństwie o wyrobionych tradycjach, o pewnych stałych przekonaniach. Atmosfera otoczenia wsiąka w nas zwolna, wchodzi nam w organizm, w krew i zwolna na swój typ nas urabia.

Ledwo po raz pierwszy spojrzymy na świat rozumnemi oczyma, ledwie po raz pierwszy zbudzi się w nas popęd poznania czy to świata, czy ludzi, czy własnego społeczeństwa — już gdzieś z jakichś zakątków mózgu wynurzają się różne nieuzasadnione przekonania, komunały, ogólniki — i mącą jasność naszego poznania. Z mlekiem matki wprowadzamy w nasz organizm duchowy nie tylko pożywienie, ale i truciznę.

Jakąż rozkoszą jest wyzwolenie i razem jaką boleścią! Rozum, zdrowy rozum, zważający wszystkie racje „za“ i „przeciw“, jest tem ostrzem, którem bez litości wypruć należy ów wstrętny wrzód z organizmu. Logiczne myślenie uzdrawia i daje pokój. Burzy wprawdzie bezlitośnie wszelką złudę, wali gmachy na tęczach budowane, daje tylko kilka prawd, lecz pewnych i niewzruszonych. Ale, że narzędzie to jest ostre i boli — przeto wielu ma przeciwników. Wmawiają oni w nas gwałtem, że „biedny mózg“ jest czemś marnem i nikczemnem, że jest narzędziem „mydlarzy“, udowadniają nawet to twierdzenie — i o dziwo! — gdziekolwiek czego dowodzą, cokolwiek uzasadniają, zawsze posługują się tym „biednym mózgiem“, posługują niestety! w skrajnie naiwny sposób. Mówią np., że naród jest absolutem, bo i t. d., że uczucie jest jedynem kryterjum prawdy, bo i t. d., nie wiedząc, że wszelkie „bo“, wszelkie uzasadnianie tezy, wszelka argumentacja jest właściwie tylko postulatem „biednego rozumu“, postulatem, z którego ci „nadrozumowi uczuciowcy“ należycie nawet wywiązać się nie

umieją. A przecież godzi się, by ci, którzy stoją ponad czemś, opanowali to „coś“, nad które się wznoszą. Bo w przeciwnym wypadku, czy to „wzniesienie się“ nie jest, co najmniej... podejrzanym frazesem?

Rozum stwierdzał swoje prawa w ciągu długich wieków. Ale nietylko historyczne ma on prawa do zabrania głosu tam, gdzie chodzi o jakąkolwiek prawdę. Prawo jego jest zapisane głęboko w duszach wszystkich ludzi. Uczuciowcy, odmawiając rozumowi funkcji poznawczych, posługują się nim na każdym kroku, kiedy o coś na serjo chodzi, ba nawet posługują się nim dla udowodnienia jego bezużyteczności, popełniając tem sprzeczność wewnętrzną.

I miałoby się doprawdy chęć zawołania: „quousque tandem“ — gdyby nie okoliczność, że w obronie uczucia staną doskonale zorganizowane szeregi najinteligentniejszych sfer społeczeństwa, wykarmionych wzruszeniami artystycznemi, sfer, u których piękno i prawda są synonimami. Nie ma się zresztą czemu i dziwić. Najzimniejsze, najbardziej wyrachowane społeczeństwo nie jest takiem aż do samego dna. Wszakże najświętsze prawdy społeczne, etyczne, religijne opierają się na uczuciach; ceni się ludzi przeważnie według popędów wzniosłych, według uczuć głębokich, według szlachetności charakteru, rzadziej według rozumu. A na tem uczuciowem tle społecznem wyrastają przecież najwięksi bohaterowie, opierają się najwznioślejsze hasła i dążenia. Wszystko, co człowiekowi i społeczeństwu najdroższe, stanie w szeregu nieprzyjaciół rozumu.

Ludzi, którzy dla prawdy poświęcają uczucie, nie lubi się i nie ceni. „To zimny, wyrachowany egoista“. „Ten człowiek liczy się ze wszystkiem, serce jego obojętne i wygasłe“.

A taki człowiek tymczasem widzi doskonale, że postępek, którego od niego wymagają, byłby głupstwem, że uznanie jakiejś rzeczy za prawdę byłoby nonsensem, że wzruszenie jego w danym wypadku byłoby tylko ckliwością.

Wszelka jednostronność prowadzi do fanatyzmu. Wywyższanie jednej władzy duszy kosztem drugiej wyradza się w uprzedzenie i doktrynerstwo. Tymczasem życie wewnętrzne człowieka jest tak bogate i tak różnorodne! Stać nas na rozum i na uczucie! Dlaczegoż koniecznie mają te obie władze wkraczać w zakresy swego działania i paraliżować się nawzajem? Dlaczegoż ma koniecznie uczucie rościć sobie pretensję do poznania, skoro ono gdzieindziej z większym pożytkiem działać może?

Suum cuique.

A jednak działo i dzieje się inaczej. Ludzie zamiast korzystać ze swoich władz duchowych równomiernie i mądrze, zaczynają się bawić w ich ocenę wedle wartości, jaką która z nich posiada. I tutaj rozchodzą się mniemania ludzi, bo też i wartości są niejednakowe. Dla ludzi o organizacji uczuciowej największą wartość będzie posiadała strona uczuciowa psychiki ludzkiej, dla ludzi mających skłonność do ścisłego myślenia, u których uczuciowość nie tak wybitną gra rolę, — strona rozumowa. Tak być nie musi, ale tak dzieje się przeważnie. A prawie zawsze już dzieje się to tam, gdzie chodzi nie o jednostki, ale o całe grupy, jako przedstawicielki pewnych zapatrywań.

Czas jednak powrócić do tego, cośmy powiedzieli na wstępie. Stoimy obecnie pod egidą Muz. Jesteśmy skrajnymi uczuciowcami, uczuciowcami w najszerszem znaczeniu. Współczesny ruch umysłowy ma tło kulturalno-uczuciowe i estetyczne. Nauk ścisłych prawie się nie uwzględnia. Gdzie chodzi o ścisłe sformułowanie czegoś, rzuca się ogólnikiem i frazesem. Komunały wprawdzie straciły na wartości, spowszedniały — za to popłaca jaskrawy paradoks. W tysiącznych recenzjach, sprawozdaniach, brzmią hymny pochwalne na cześć zręcznych wirtuozów formy i parodoksu.

A nie są to nieuzasadnione zarzuty, które tutaj podnosimy. Zdarzało się nieraz, że jedna i ta sama rzecz rozmaicie wyrażona doznawała z jednych i tych samych ust rozmaitej oceny. Gdyby ta ocena tyczyła się estetycznej wartości utworów, możnaby to jeszcze zrozumieć. Ale ocena była l o g i c z n ą; — rzecz w sposób niezwykły, obrazowy wyrażoną nazywano niedościgłą głębią, tę samą rzecz w sposób prosty podaną — nonsensem. A przecież różnica była jedynie w sposobie przedstawienia rzeczy, w stronie estetycznej, nie logicznej przedmiotu. Wogóle zatraciła się, zdaniem naszem, w dzisiejszej dobie różnica między tem co „ładne“ a „prawdziwe“. Że skutki zatarcia tej różnicy błogie nie były, łatwo zrozumieć. Powierzchowność, frazes, nieścisłość poczęły się wkradać powoli i do dzieł, które miały i mają pretensję do naukowości. Chodziło przedewszystkiem o „styl rwący, jak potok górski“ o „ujęcie artystyczne przedmiotu“, o „głębokie wzruszenia na tle naukowem“, o „szeroki rzut oka“, mniej zaś chodziło o p r a w d ę i przystępność wykładu.

Posiadamy w obecnej poezji twórców wielkich i utwory arcydzielne. Estetyczna, wzruszeniowa, artystyczna wartość ich dzieł jest, przyznajemy, niezwykła i trwała; ale czyż to nas zmusza stoso-

wać do nich niepotrzebnie ocenę logiczną, twierdzenia piękne i niezwykłe uważać za zgodne z prawdą, z tej jedynie racji, że w czasie podniecenia zostały wygłoszone? Oddajmy co cesarskiego cesarzowi, co boskiego Bogu! Cieszmy się, upajajmy dziełami sztuki, ale nie szukajmy w nich prawd metafizycznych, bo nam ich nie dają. Mdły, dogmatyczny mistycyzm, jak wszelkie uznawanie czegoś nieoczywistego bez dostatecznych racji za prawdę, świadczy tylko o słabości i zaniku władz poznawczych człowieka.

Czy jednak hasłem humanizmu jest rozwój jednej władzy ludzkiej kosztem drugiej, czy może równomierny rozwój c a ł e g o człowieka? Co jest piękniejsze i lepsze — czy c a ł y człowiek w pełnym swych władz rozwoju, czy indywiduum patologicznie, jednostronnie rozwinięte? Na to niech odpowiedzą ci, co wzgardzili rozumem?

Nowa powieść Weyssenhoffa.

(Józef Weyssenhoff: Syn marnotrawny. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1905. 8⁰ str. 446 i 6.)

Nie często udaje się artystom jakiegokolwiek rodzaju tak skuteczny atak do sympatji publiczności, jak był ten, który wykonał p. Weyssenhoff w swoim „Podfilipskim“. Pozyskać rozgłos wielki a sympatyczny, przedostać się w przekładach poza granice polskości, wywoływać liczne komentarze, a zawsze pochlebne, a nadewszystko stanąć w rzędzie najwybitniejszych pisarzy, a wszystko to zdobyć za pierwszem zaraz wystąpieniem — to chyba bardzo wiele! A gdy przed trzema laty ukazała się druga powieść p. Weyssenhoffa, „Sprawa Dołęgi“, autor jej stanął w rzędzie najulubieńszych i najpoczytniejszych naszych powieściopisarzy. Nie zaszkodziły tej wziętości ani dwie słabiuchne nowelki, wydobyte z archiwum pisarskiego, w którem powinny były pozostać, ani zarzuty niektórych krytyków (np. Potockiego i St. Tarnowskiego), zwrócone przeciw „rycerzowi Dołędze“ — wydania dwu głównych dzieł p. Weyssenhoffa rosły, a publiczność czekała niecierpliwie nowych. Teraz właśnie zjawiła się oczekiwana nowość i — wywołuje rozczarowanie.

Na zewnątrz nic się tu prawie nie zmieniło i pierwiastki składowe nowej powieści są te same, co w dwu poprzednich. Więc znowu sfera rodowej arystokracji, którą p. Weyssenhoff z fotograficzną wiernością wprowadził do naszej literatury, a którą przedtem, jak się ktoś trafnie wyraził, podpatrywano tylko z przedpokoju — więc ten sam ironiczny sposób przedstawiania typów, zapatrywań, zabaw i zajęć „poważnych“, łajdactw i prób idealniejszego życia — ten sam nawet rozkład barw w charakteryzowaniu postaci, w przeciwstawianiu gromadom zdegenerowanych sybarytów szlachetniejszych jednostek. Ale to tylko pozornie, tylko zewnętrznie. Przedtem materjał ten układała ręka pewna, ręka prawdziwego artysty, i układała z niego harmonijne obrazy, tworzyła prawdziwe dzieło sztuki — dziś ten materjał rozpada się w ręku autora na luźne epizody, które nie tylko nie łączą się w harmonijny obraz, ale nadto same w sobie nie mają siły, nie mają spójności i życia. Powieść poszła śladem swoich bohaterów: nie żyje, wegetuje tylko.

W „Sprawie Dołęgi“ rzucił Weyssenhoff pomiędzy hufiec mizernych wielkości arystokratycznych wielką i ważną sprawę społeczną i na tle tej sprawy pokazał nam całą nędzę moralną swych bohaterów. W „Synu marnotrawnym“ niema takiej perspektywy. Chwilowy bunt Jerzego Dubieńskiego przeciw zasadom rodzinnym jest buntem pozornym tylko; nie o zasady chodzi „marnotrawnemu synowi“, lecz raczej o inną metodę wyzyskiwania przyjemności próżniaczego życia, więc też konflikt tych ludzi ma w sobie więcej ironji, niż dramatyczności. Być może, że autor sam kwestję tę tak właśnie chciał przedstawić — ale skutek tego dobrowolnego czy mimowolnego stanu rzeczy jest ten sam: brak silniejszych kontrastów, brak nerwu dramatycznego, brak życia. To, co miało być istotną tragedją, uwiedzenie „idealnej“ kobiety i zdeptanie jej szczęścia i szczęścia zakochanego w niej mężczyzny, nie działa bynajmniej tragicznie na czytelnika. Przewszystkiem: dlaczego ci kochający się ludzie nie stwarzają sobie sami upragnionego szczęścia, gdy im w tem nikt i nic nie przeszkadza? Prawda, przeszkodą są ich niezupełnie rozświetlone mózgi, ich dziwaczne pojęcia — ale z tego nie wynika, abyśmy mieli wylewać łzy nad losem, który sobie skutkiem tego zgotowali. A sprawa „uwiedzenia“ także nie bardzo jest tragiczna, bo przecież pani Oleska sama rzuca się w objęcia Jerzemu, szepcząc

tylko, jakby na zachętę: „Nie teraz!“ Więc gdzież tu wątek dramatyczny?

Niema go wcale, ale zato jest wiele rozmaitych ingredjencji, które go w pojęciu autora mają zastąpić. Jest bogaty stryj z bogatą jedynaczką, stryj nie z Ameryki wprawdzie, ale ze Stambułu, zjawiający się, jak *deus ex machina*, na zawołanie autora pod koniec powieści — przedewszystkiem zaś są rozmaite sceny *pikantne*. Ta pikanterja ma czynić powieść zajmującą, podniecać uwagę czytelnika, której bohaterowie zająć nie mogą. Środeczek to wypróbowany wprawdzie, ale bardzo marny i niegodny prawdziwego talentu, tem bardziej, że wszystkie niemal drażliwe sytuacje są dla akcji powieściowej — jeżeli wogóle o akcji prawdziwej można tu mówić — zupełnie zbyteczne. Jeżeli chodziło o pokazanie wszystkich brudów życia na arystokratycznej Rivierze, to można było uczynić to w sposób inny, mniej drastyczny; wszak p. Weyssenhoff czynił to na wielką skalę i w „Podfilipskim“ i w „Sprawie Dołęgi“, a jednak nie wywoływały te sceny niesmaku, nie były pieprzem, który podany w nadmiernej ilości do potrawy, ma swym ostrym smakiem zakryć nieudolność kucharza.

Nie chciałbym, aby mnie z powodu tego zarzutu, czynionego „Synowi marnotrawnemu“, posądzano o zbytnią pruderję. Nie tylko uznaję rację ich istnienia, ale sądzę, że są często koniecznym, niezbędnym środkiem artystycznym — ale trzeba najpierw tego, aby naprawdę były środkiem tylko, nie celem, a powtóre tego także, co je zawsze i bezwarunkowo może rozgrzeszyć: trzeba im jakiegoś obłoczku poezji, któryby je otaczał i czynił pięknemi. Ani w „Popiołach“ Żeromskiego, ani w „Chłopach“ lub „Tryptyku“ Reymonta, ani nawet w niektórych fantazjach Przybyszewskiego sceny takie nie rażą, bo tam stworzono z nich poematy, nie przyjdzie też nikomu do głowy czynić zarzuty, Sieroszewskiemu, że w „Chajłachu“ z takim bezgranicznym realizmem przedstawił napół zwierzęce porywy miłosne, bo przecież te sceny stanowią główną treść wstrząsającego dramatu jakuckiego; ale cóż sądzić o scenach drażliwych, względami na kompozycję utworu zupełnie nie uzasadnionych, a nie mających w sobie ani źdźbła poezji, ani odrobiny piękna?

Wybitnym rysem współczesnej naszej powieści, utworów Żeromskiego, Reymonta, Daniłowskiego, Orkana, jest przedewszystkiem to, że ich opowiadania są nierymowanymi poematami. O Weyssenhoffie nie możnaby tego powiedzieć, ale zarówno „Podfilipski“, jak „Sprawa Dołęgi“ miały przynajmniej pewien wdzięk, pewną naiwną świeżość niektórych postaci żeńskich i wybornie rysowane typy męskie. „Syn marnotrawny“ niema nawet tych zalet. Daremnie szukalibyśmy w nim choćby biednej „Falbanki“ lub sympatycznej Halszki Zbaraskiej, klasycznej postaci Zbąskiego lub choćby Kerstena — ani jedna postać nie utrwala się w pamięci czytelnika, żadna nie oczaruje go swym wdziękiem, a wszystkie będą przypominały typy, znane już z poprzedzających powieści. I druga rzecz uderza niemile. Tłem akcji jest jedna z najpiękniejszych w Europie okolic, wspaniała, w przepyszne widoki bogata Riviera — ale czytelnik jej nie widzi, bo autor ślepy jest poprostu na piękno przyrody. Więc zamiast prześlicznej natury widzimy w „Synu marnotrawnym“ samochody, zamiast woni kwiatów unosi się tu nad Rivierą woń arystokratycznych skandalów...

Te wszystkie braki konstatuje się z przykrością, jaką zawsze sprawia rozczarowanie, i z równie przykrem uczuciem niepewności, czy książka, którą się bez żalu odkłada, jest chwilowem tylko potknięciem się autora, czy też powieściopisarstwu naszemu ubywa siła, na którą się wiele liczy, a która już się wyczerpała?...

Tadeusz Pini.

Langiewicz o swej kampanji powstańczej.

(LIST DO LUDWIKA BULEWSKIEGO).

(Dokończenie.)

Jedyną naszą rzeczywistą bronią byli strzelcy, stanowiący mniej więcej trzecią część wojska; większa ich część miała broń myśliwską, bez bagnetów, więc wobec gwintowanej broni moskiewskiej używaną być musiała głównie do boju odpornego i to z poza zasłon. Amunicji nie mieliśmy nigdy więcej, jak 10 naboji na każdą sztukę broni, ale zwykle znacznie mniej. Już dla tych względów musieliśmy się zasłaniać domami, płotami, rowami, krzakami, drzewami i wzgórzami; niemniej dlatego, ażeby nieprzy-

jaciel nie mógł dostrzedz ani naszej liczby, ani naszych słabych punktów, ani naszych ruchów. Główny bój toczyli nasi strzelcy, opatrzeni w broń precyzyjną; w przecięciu na każde ich trzy strzały padał jeden nieprzyjaciel a prócz tego, przynajmniej na niejakiś czas ubywało dwóch, bo odnoszący trupa lub rannego nie spieszyli się wracać do boju. (Moskale w ciągu boju potajemnie grzebali trupy, ażeby w swych biuletynach módz podawać jednego kozaka jako poległego. Tylko w razie bardzo spiesznego odwrotu lub zanadto wielkiej liczby trupów, ludność musiała się zająć ich pogrzebaniem. Tak było pod Grochowiskami, 18. marca, gdzie chłopi poległych 450 Moskali pogrzebali). Jeżeli się nieprzyjaciel chwiał, nasi strzelcy wysuwali się naprzód, jazda demonstrowała, kosynjerzy wypadali z po za zasłon.

Jeśli nieprzyjaciel awansował, co się rzadko zdarzało i krótko trwało, przyjmowaliśmy go bronią myśliwską, a kosami na mniejsze odległości. Bój się kończył tem, że Moskale albo się utrzymali na placu, albo się cofnęli, ale w każdym razie wracali do miejsc garnizonowych. Nigdy nas nie ścigali, bo nie mogli wiedzieć, czyśmy się rzeczywiście cofnęli, lub zasadzkę zrobili siłami, o których mieli tak przesadzone wyobrażenia. Ale i my, brakiem rezerwy, rzadko ścigali. Strzelcy bowiem z końcem walki byli prawie bez amunicji; kosynjerzy i jazda nie byli przydatnymi do porządnego pościgu. Najważniejsza zaś, że w odwrocie nieprzyjaciel mógł się na nowo sformować, a my tylko na pozycjach nam właściwych bić się mogli: wtedy zwycięzcy w mgnieniu oka byliby się zamienili w zwyciężonych.

Linji odwrotu nigdy naprzód nie oznaczałem. Żołnierz nie miał nawet przypuszczać, że przewiduję potrzebę odwrotu. Natomiast pozycję trzeba było obierać tak, iżby natura gruntu pojedynczym oddziałom wskazywała linię odwrotu: takim sposobem z łatwością odszukiwałem pojedyncze części mego korpusiku.

Stosunku sił walczących nie można ściśle oznaczyć, bo brak jest wspólnej miary do mierzenia obu stron. Może najstosowniej jest ilością naboi mierzyć siły bijących się, ale przypomnieć trzeba, że Moskale strzelali z broni wojennej i precyzyjnej, a my po większej części z broni używanej na ptaki i zające. Otóż uzupełnisz sobie ocenienie naszych potyczek, skoro powiem, żeśmy się przez sześć godzin bili w stosunku naszych 6.000 kul naprzeciw 210.000 kul moskiewskich, wspieranych odpowiednią artylerją i kawalerją. Mimo takich dysproporcji moskiewskie straty w rannych i poległych bywały często trzy razy, a kilkakrotnie nawet ośm razy większe, niż nasze, co nie może dziwić, bo nasz żołnierz patrjotyczny pragnął ubić jak najwięcej nieprzyjaciela, zasłonięty bywał przed strzałami, a z poza zasłony spokojnie mógł strzelać. Niewolniczy zaś żołnierz moskiewski, musząc stać w otwartem polu, spieszył się z wystrzelaniem amunicji, ażeby przyspieszyć rozkaz do odwrotu. Mimo to nasze straty były dotkliwszemi, bośmy się bili wszystkiemi siłami przeciwko ledwie trzeciej części sił moskiewskich i zwykle stawaliśmy się dla nowego braku amunicji przez kilka dni niezdatnymi do poważnego boju.

Dużo mam jeszcze do powiedzenia o trudnościach naszego położenia, skąd jeszcze lepiej wnioskować o naszej żywotności, skorośmy je dotąd pokonywali. Lecz brak mi czasu, więc już tylko kilka słów uwielbienia dla naszych żołnierzy i dla wielu z naszych kobiet.

Prowadziliśmy wojnę w styczniu, w lutym i w marcu, w nędznych ubiorach, w podartem obuwiu, często o całodziennym głodzie, robiliśmy forsowne marsze, biliśmy się 17 razy w 8 tygodniach, biwakowaliśmy w błocie i na śniegu, bez słomy i bez płaszczy, przy lichych ogniskach z mokrych gałęzi, prawie ciągle wśród przeważnego a okrutnego nieprzyjaciela, bez schronienia dla chorych i rannych, po większej części bez pomocy lekarskiej, (zostawszy zranionym, musiałem na koniu lub na śniegu czekać 32 godzin za pierwszem opatrzeniem), zostawieni sobie samym, zasmucani wiadomościami, że w innych częściach Polski powstanie jest jeszcze słabszem. A jednak ciągle powetowywaliśmy nasze straty, ciągle wzrastaliśmy w siłę moralną, coraz więcej zdobywaliśmy poszanowania na nieprzyjacielu.

Jakże nie bić czołem przed poświęceniem się takich kobiet, które cnotliwe, zamożne, delikatnie wychowane, szczęśliwe w pożyciu rodzinnem, opuszczają swe dzieci, ażeby wypełniać najniebezpieczniejsze polecenia wśród obozu moskiewskiego; za lada podejrzeniem czekają ich zabójcze więzienia lub męczarnie Sybiru; za lada kaprysem rozbestwionego żołdactwa: gwałcenie i zamordowanie. Sprawa mogąca natchnąć taką siłą moralną, musi być żywotną i jej zwycięztwo tylko kwestją czasu.

Przyznaję, że w pierwszych dwóch tygodniach powstania lada dzień obawiałem się zupełnego upadku jego, przynajmniej w mojem województwie, i że tylko przez posłuszeństwo dla władzy i przez

ambicję wytrwałem na stanowisku. Ale od owego czasu powstała i ciągle wzrastała we mnie wiara, że obecne powstanie o własnych siłach nietylko długo egzystować ale i zwyciężyć może.

Jutro napiszę Ci o ogólnem położeniu powstania i o przyczynach objęcia dyktatury.

Twój M.



WŁADYSŁAW ORKAN.

LIS.

(Dokończenie.)

W blizkości stało osiedle, ale żywej duchy nie było słychać. Słońce prażyło; nasz lis też pomknął pod sad ku cieniowi, stąd się rozgląda uważniej — ani słychu. Wreszcie dobiega jego wytężonych uszu dalekie jakieś gdakanie, stłumione, jak z poza sześciu ścian. Już znał tę nutę ciemną, tak miłą uszom, a tak bolesną z oddalenia w sercu. Chciałby ją zbliższa usłyszeć... podszedł ku ścianom, obszedł je dopokąd zdołał, nadsłuchiwał, ale nuta gdakania nic się nie zjaśniła. Ustał, uprzebierał nogami, nasłuchał się, aż łzy mu do ócz naszły, wreszcie rad nie rad zabrał się i poszedł w stronę osiedla. Idęcy dumał:

— Dziwni ludzie... Niepotrzebnie kury do kojca zamykają. Kto widział! Ani powietrza, ani wody... One im tam do jednej wyzdychają.

W tym sensie rozważał chwilę, poczem zdwoił baczność, bo już osiedle drugie wystąpiło. Zachylił się pod miedzę i ostrożnie bardzo się podsunął.

Widzi... kury na polu się pasą... cały kerdel... Ba, ale pasterz przy nich; pilnuje, obchodzi, zgania, ani na chwilę nie spocznie.

— Też rozum!... Kto widział kury paść, jak owce... A jakie one ładne, nietrwożliwe! Ej, żeby tak bliżej...

Napatrzył się z pod miedzy na nie, nawzdychał się nie mało — i rad nie rad zabrał się ku następnemu osiedlu. Tam się już może poszczęści, już by był czas...

— Dzieciska głodne czekają — pojrzał na słońce — już połednie...

Zachylając się poza wysokie miedze tak, że jeno szczyty dachów mógł widzieć, zapomykał się ku trawnikom. Miedza się właśnie kończyła. Wychylił łeb ostrożnie — aż mu serce z radości zadrgało.

Widzi... kury się pasą na trawniku... nikogo przy nich... Mierzy oczyma przestrzeń, dzielącą go od tych kochanych stworzeń. Trochę zadalekawo... Żeby podeszły nieco bliżej... Namawia je oczyma, całem pragnieniem, całą wolą wysyłaną ku nim przez rozkochane oczy, stara się je przywołać ku sobie. Szczególnie jedna mu się spodobała... puszysta, duża, siemieniata... Do tego koloru miał zawdy słabość niejaką. Więc uśmiecha się do niej miłośnie, prawie że tkliwie... Naraz, któraś z nich, głupia, ostrzegła. Podniosły wrzask i w nogi... Rozzłoszczony tem, wyskoczył i puścił się za niemi... W te razy wypadł pies od chałup z takim okropnym charkiem, jakby conajmniej wieś palono i wprost na oślep pędzi... „Zjadłeś djabłów!... Cóż głupiemu stać na drodze?“ — pomyślał lis w tym momencie i wartko zawrócił nazad. Wnetki dopadł potoczka, pomknął nim w dół i zatrzymał się dopiero, skoro owo charczenie nieprzyjemne zcichło.

Zły był na siebie, że się dał strachowi przejąć, ale większa złość zbierała go na wspomnienie tej mordy charkliwej.

— Bogdajby ci sie padło suchemi tarkami żywić!... psie głupi, nieokrzesany...

Serdecznie nienawidził tego podłego plemienia, które, jak podanie niesie, miało jednego praojca z narodem lisim, a potem się zaprzedało na służbę do ludzi.

— Po co oni to żywią? Ani szczekać nie umie uczciwie, ani słuchu nijakiego nie ma, nic nie ma, coby się mogło podobać.

W tem podobieństwie złościł się, wypoczywając, wreszcie smętek go naszedł razem z cieniem, który od smreczków się dłużył.

— Słonko spada... Cień rośnie... dzieciska tam już wyzierają... Matka sie bedzie złościć, że mnie tak długo nie widać. Niechże se idzie na drugi raz sama, niech sie dowie, jak to legutko przychodzi. Chciałech przecie — ale trudno — nie poszczęściło sie. Jak i teraz... taka dobra sposobność!... i na nic — musiała ta psia morda przeszkodzić. Bestji dadzą żarcie, przyniosą pod gardło, to sie jej zdaje, że nikt nie potrzebuje jeść. Żeby ja cię tak dostał, wziąłby ja cię, aj wziął na polewkę!...

Gwałtem myśl jego do psa powracała, a tu trza było coś postanowić, bo śródwieczerz się zbliżał. Zbaczył sobie, że jeszcze jest jedno osiedle. Nadzieja mu powróciła.

— Trza ostatniego szczęścia popróbować...

Zebrał się, i ruszył w stronę, gdzie miarkował, że chałupy stoją. Dojrzał ich dachy nareszcie. Ostrożniej już podmykał się, wyszukując bruzd, wgłębin, zachyleń — aż niespodzianie znalazł się pod sadem. Sad był okrajnemi deskami otoczony. Więc wspiął się na tylnych nogach i zajrzał przez szparę do wnętrza. Bardzo dobrze. Są w sadzie... przeczuł je już, nim zajrzał. Są stare, są i średnie kokoszki, i młode jeszcze kurczęta...

— Z tych można by kiedy przy czasie wziąć parkę na chów... A tymczasem którą ze starszych trza bedzie... I tak jej żywot nie wieczny...

Ale jak sie tam ku nim dostać? Płot wysoki, szpary wąskie pomiędzy okrajkami, że ani łeb się nie przeciśnie. Poczyna biegać dookoła, wypatrując otworu większego.

— Dziwni ludzie — myśli przytem. — Ogród bez furtki... Jakże oni tam te kury wganiają?

Nagle uczuł ból okrutny — coś go chwyciło za nogę ostrymi zębcami. Szczęki zaciął, żeby nie szczeknąć z bólu. Pojrzy, a tu łapa przednia między dwoma obręczami... W te razy słyszy krzyk: „Tuś mi!“ i widzi parę osób, pędzących jedno przez drugie od izby. Szarpnął się raz i drugi — coraz straszniejszy ból — nie puszcza... Czuje, jak już żelazo gniecie kość... Moment — a ludzie dolecą... Więc zbiera wszystką zaciętość — i bez namysłu, chrast! zębami — ugryza nogę potąd, pokąd w żelaźcach tkwiła — i w ucieki... wszystkich sił dobiera w biegu, bo ludzie już tuż — z kijami. Na trzech nogach leci jak na pięciu. Już już potok — już lasek — obziera się — ludzie nie ustają... Więc dalej — dopadł lasku — nie zatrzymuje się — pędzi w potok — we wodę — nóg zgoła nie czuje. Wreszcie w przylaski. Zwolnił biegu, ale jeszcze nie bardzo dowierza, dobiera sił, byle dalej, byle jaknajdalej... Wreszcie już stąpać nie może — ból mu poczyna dokuczać. Siada na mchu i poczyna opatrywać nogę...

*

Ciemniło się już na dobre, kiedy nasz lis, kulejąc na trzech nogach, dowlókł się do miejsca skąd zboczył był przed południem, na prawo w przylaski. „Szczęśliwych łowów!“ doleciało go z wysoka. Pojrzy — ta sama wiewiórka czarna śmieje się siedząc na drzewie i puszcza mu na plecy łupiny ze szyszek.

Udał, że nic nie słyszy, i powlókł się dalej, stękając ciężko, boleśnie. Wreszcie dowlókł się ku jamie.

— Tak wczas?! — wrzasnęła lisica i, widząc że nic nie niesie, ze zębami do niego: — Cóżeś przyniósł?! Swoje ścierwo zdechłe?! Żeby cię byli do reszty... psie płowy...

Uchylił się przed jej złością i nie nocował w jamie. Wyszukał sobie w gąszczu kąt najciemniejszy — tam siadł na zdrowych trzech nogach i, obfite łzy wylewając, płakał.

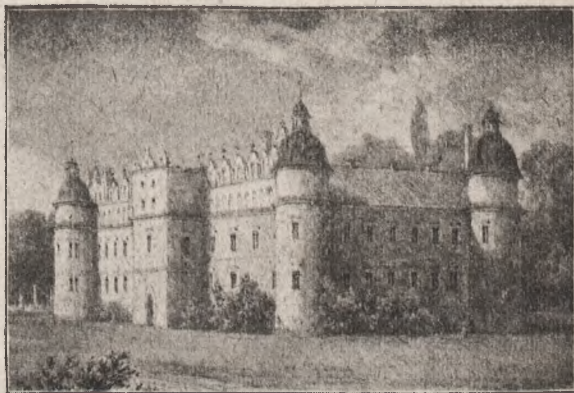
— Ludziom przecie jest lepiej — myślał ustatkowawszy się w bólu. — Nie potrzebują szukać codzień na wieczerzę tej głupiej kury...

Trzeba dodać, że ów lis wcale nie znał miasta.

Pod trzeciego króla.

(Ciąg dalszy.)

Ale to wszystko furda dla oryla, jedzie sobie na tratwie, trzymając w ręku drygawkę, niby kanonier lont zapalony, a jak wjedzie na hak, (na piasek), to się też zwłaszcza w lecie nie turbuje.



ZAMEK W BARANOWIE.
(Rys. z nat. Napoleon Orda.)

Owszem rad z tego, bo więcej mu czasu podróż zabiera i więcej zarobi. Gdy tratew wjedzie na hak, czyli „powali“, flisacy muszą się rozbierać, brać drągi czyli „spys“*) i muszą iść na „wesele“. Kupiec zły na to i klnie jak tylko umie, a oryl się uśmiecha tylko i niby spycha tratwę, ale tak zniechcenia, że kupiec musi dać mu to, co się mu „od dawna patrzy“, wódki, która się wtedy zwie „weselna“.

Niechęć szyprów do takiego wesela wyraża najlepiej następująca piosenka:

„Flisaki, pijaki płyniecie na haki,
Godzinkę pływacie, tydzień wyciągacie“!

*) Już Klonowicz radzi flisowi taki drąg zwać „sprysem“. Nazwa ta dotąd się utrzymała.

Trudność ta nie psuje zresztą nikomu dobrego humoru, bo tak retman, jak i oryle wiedzą dobrze, że:

Najciężej im minąć Baranowskie koło.
To se w „Sodomirzu" zanucą wesoło,
Najciężej im minąć Baranowskie lądy,
Będą pić, tańcować po podolu wszędy"!

Podziękowałem przednikowi za „oświatę" a w duchu kpiłem z niego, bo ja lepiej znałem ten pałac Baranowski, niż on, choć nie był frycem. Wiedziałem, że w nim przemieszkiwał niegdyś król Stefan Batory, że tu w r. 1656, 24. marca wojska polskie, pod wodzą Sapiehy poniosły klęskę od Karola Gustawa, wiedziałem też i to, że tu mieszkał jakiś czas biskup Ignacy Krasicki. Alem tego przednikowi nie śmiał powiedzieć, bo gdzieżby on frycowi dał wiarę?

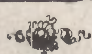


WISŁA POD BARANOWEM.
(Rys. z nat. i lit. M. B., Stęczyński 1846.)

Patrzże frycu mówi mi przednik, tu gdzie te kopułe widać to jest Baranów, to jest takie stare zamczysko, a drzewiej to tam na powale był staw z rybomi jak nieprzymierzając cielęta".

(C. d. n.)

Jakób Bojko.

 PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA 

KSIĄŻKI. *Meandry. Strzępy myśli rozwianycn ze wspomnień Felicjana. Warszawa 1904. Książki dla wszystkich. Wyd. Arcta.*

Pogasło już wielu z towarzyszów Felicjana. O jednych słusznie, o innych niegodziwie zapomniano. Samego zaś Felicjana Faleńskiego spotkał zwykły los duchów pięknych i wielkich, nie umiejących robić hałasu o sobie, nie ubiegających się za pustą reklamą — przemilczano jego twórczość, a przecież każdy przyzna, kto czytał jego przedziwnie piękne i głębokie dramaty, lub niezrównane tłómaczenia (np. Ariosta, Petrarki), że Felicjan jest władcą wspaniałej formy i mistrzem słowa, że poezja jego jest jakby tchnieniem jakiegoś boga gór i łąk, mórz i błękitów. Niedawno wyszły w książeczce skromnej i małej jego „Meandry, strzępy myśli rozwianych" — chwilę tę jednak również przemilczano. Na okładce nie ma winiety, książeczka niepozorna, tania — któżby ją kupował i czytał? A jednak warto. Drogocenne perły i djamenty dał w tej książeczce sędziwy poeta... *Fel. Gw.*

Rocznik żydowski. Wychodzący od lat kilku „rocznik" będący równocześnie kalendarzem o tyle oryginalnym, że jako podstawę bierze kalendarz chrześcjański i takąż rachubę czasu, jest zbiorowem odbiciem dążności sjonistycznych młodzieży żydowskiej. Jako taki jest „rocznik żydowski" wydawnictwem wcale ciekawem, gdyż daje dokładny obraz tego, czem przez rok cały sjonistyczny odłam społeczności żydowskiej najbardziej był zainteresowany. W ubiegłym roku oczywiście najbardziej Herzlem, więc też i w kalendarzu, czyli roczniku znajdujemy aż dwa artykuły i jeden wiersz, o tym wybitnym działaczu żydowskim doby najnowszej. Dalej ciekawy jest „rocznik żydowski" i skutkiem tego, że w dobrem tłumaczeniu polskiem odchyla rąbek zasłony, którą jest spowita żargonowa literatura żydowska, podaje reprodukcje dzieł malarzy wybitnie żydowskich, prawdziwą zaś ozdobą rocznika są dwie rozprawki p. Majera Balabana o przeszłości żydów lwowskich. *F. J.*

Drukiem W. A. Szyjkowskiego, we Lwowie, ul. Kopernika l. 5.